

ZŁO CZĘSTO MA PIĘKNE OBLICZE

*Pisząc, wchodzę
do strefy cienia
i wychodzę, gdy tylko chcę*

z KATARZYNĄ BONDĄ
rozmawia MICHAŁ NOGAŚ
zdjęcia ALDONA KARZMARCZYK



Jakie własne słabości przekazałaś profi-
lerce Saszy Załuskiej, z którą spędziłaś
ostatnie sześć lat?

– Ja głównie się z nich składam, zupełnie jak ona. De facto jestem Saszą, tylko fabuła jest narysowana grubszą kreską. Czyli na przykład ja nie jestem alkoholizką, ale za to mam 526 sukienek. I to jest nałóg, ewidentnie.

526?

– Tak twierdzi moja krawcowa, która ma zeszytik z zamówieniami. Nie jest to normalne, wiem.

Sasza pracowała w CBS i w policji, wiele przeszła. Jej zawodowy profil zbudowałam na podstawie rozmów z fachowcami. Natomiast jej życie prywatne, decyzje, które musi podejmować, to wszystko w dużej mierze jest wynikiem moich doświadczeń, momentów krytycznych, w których musiałam znaleźć grunt, by mocno stanąć na obu nogach. **Które zakrety były najważniejsze, najtrudniejsze? Wypadek, w którym śmiertelnie potrąciłaś 80-letniego mężczyznę?**

– Wypadek bezdyskusyjnie był przełomem w moim życiu. Przeciął je na pół. Zdarzył się w momencie, w którym nie chciałam już być dziennikarką. Zrozumiałam, że sposób, w jaki opisuję sprawy sądowe, wychodzi poza zwykłe dziennikarskie teksty. Przestał mnie interesować czysty news, chciałam się dowiedzieć tego wszystkiego, co dookoła. Dwa razy, jeszcze przed wypadkiem, zwalniałam się z pracy w gazecie, dwa razy proszono mnie, bym została.

I nagle to się stało, doświadczyłam rzeczy ostatecznej. Byłam winna, dostałam wyrok w zawieszeniu. Paradoksalnie uznałam, że los daje mi szansę. Zrozumiałam, że chcę pisać książki.

I co było dalej?

– Cały czas pod górkę. Gdy zdecydowałam się na pisanie kryminałów, był to gatunek wykpiwany, autorów można było w Polsce policzyć na palcach obu rąk i byli to w zasadzie sami mężczyźni. Początkowo prawie nie zarabiałam. Wielu rzeczy zwyczajnie nie umiałam. Po napisaniu drugiego tomu o przygodach Huberta Meyera i po książkach dokumentalnych, gdy jako pisarka poczułam się nieco pewniej, zdałam egzaminy do studium scenariuszowego w łódzkiej Filmówce, potem na międzynarodowe warsztaty scenariuszowe. Uznałam, że dramaturgii najlepiej nauczę się w tym świecie. Jednym z najważniejszych nauczycieli był dla mnie Tom Abrams, któremu zresztą składałam hołd, czyniąc go mistrzem Saszy Załuskiej. Tom powiedział mi, że niczego nie osiągnę, jeśli nie uwierzę w siłę swojej opowieści. W czasie jego warsztatów musiałam też wychodzić na scenę i po angielsku – a nie jest to język, z którym się mocno przyjaźnię – w kilka minut opowiedzieć fabułę przyszłej książki. Czulałam się, jakbym wchodziła na Mount Everest. Ale dzięki temu zahartowałam się, zhardziałam, tak zrodził się mój publiczny wizerunek. Kompleksy zniknęły. Pojawiły się pewność siebie i mocna szminka.

Saszę zaczęłam wymyślać siedem lat po wypadku. Stworzyłam bohaterkę, która nie tylko jest skaleczona, ale składa się ze słabo-

ści – jak większość z nas. W klasycznych, męskich kryminałach, wystarczy spojrzeć na Lee Childa czy Chandlera, są silni faceci.

Przecież Bondę czytają także mężczyźni.

– Tak, choć wielu z nich za najlepszy komplement uważa: „Pani w ogóle nie pisze jak kobieta”. Ale może chcą wiedzieć, jak myślała kobiety? Oczywiście, podejrzewam, że nieco się męczą i gubią w tych wątkach, ale zawsze bardzo się staram, by w moich książkach nie było zbyt wielu przymiotników, opisów przyrody...

Nie chcesz być Orzeszkową polskiego kryminału?

– Oczywiście, że wołałabym być Sienkiewiczem, ale nim jest już Remigiusz Mróz.

A skoro rozmawiamy o tych opisach przyrody i Orzeszkowej – wiem, że czasem w swoich książkach znajduję się gdzieś na pograniczu dobrego smaku i grafomanii. A potem, jak już się tak człowiek wyżyje i rozpisze, wkracza redaktor i tnie to wszystko.

Wracając do Saszy – na oczach czytelników przeistacza się tak jak ja. Obie mamy córki, nie wstydzę się więc konsultować dialogów Karoliny, córki Saszy, ze swoim dzieckiem.

Nauczyła cię jakichś nowych słów?

– Ostatnio bardzo wiele rzeczy było w słowniku mojej córki „ohydnych”. Owsianka, jakiś człowiek, dzień. I dlatego to słowo trafiło na przykład do prologu „Czerwonego pajaka”. Jedna z postaci ma bliźnię, i to Nina odpowiedziała mi, by ta bliźna była ohydna. Wielokrotnie – choćby podając obiad Ninie i jej koleżankom – opowiadam o czymś. Dostrzegam błysk w oku, gdy historia wydaje im się ciekawa. Wykorzystuję to w książkach.

Umiem też dostrzec strach w oczach dzieci, wiem, kiedy naprawdę się boją.

Kiedy?

– Gdy milkną.

Mówisz tyle o słabościach. W takim razie jak udało ci się przebić do tego męskiego świata, zdobyć zaufanie policjantów, sędziów, profilerów?

– Pokorą. Mam jej w sobie całe pokłady. To, że ktoś mi zarzuca, że jestem bezczelna i arogancka, jest jedynie oceną mojego publicznego wizerunku. Bo przecież kobiecie nie wypada mówić tego, co myśli. Może powinnam się krygować, twierdzić, że coś udało mi się przypadkiem. Wszystko zawdzięczam pokorze i swojej pracy. I nie zamierzam tego ukrywać, za co od razu ktoś przykleja mi etykietkę bezwzględnej. Dziś mnie to już tylko bawi. Przyznaję, że kiedyś bolało.

Jak to brzmi: bezwzględna, zimna, arogancka, z niewyparzoną gębą, pewna siebie, nieznosząca sprzeciwu, po trupach do celu?

Zwłaszcza to ostatnie – w przypadku autorki kryminałów – bardzo fajnie.

– Tylko że gdybym była mężczyzną, usłyszałabym, że jestem zuchem, fajnym, niesfornym, zadziornym, uroczym takim.

Wróćmy do pokory, która pomogła ci wejść w męski świat profesjonalistów.

– Na wstępie zdecydowałam, że nie będę nosić sukienek, że schowam i postaram się zakłamać swoją kobiecość. Kiedyś nie miałam tak niskiego głosu, byłam całkowicie normalna...

Może teraz te 526 sukienek to odreagowanie?

– Oczywiście, każdy nałóg na tym właśnie polega. I nie ma tu żadnej reguły. Jestem szczęśliwa, smutna, drugi tydzień męczę się z napisaniem jakiejś sceny, mam katar, nie mam pomysłu na rozwinięcie wątku – zamawiam nową sukienkę. Znajdu-

ję materiał i idę do krawcowej. No dobrze, nie mówię całej prawdy. Zamawiam od razu kilka sukienek, im bardziej jestem zestresowana, tym więcej. Uspokaja mnie to, że widzę, jak powstają. Myślę, że panie z zakładu, w którym szyją swoje sukienki, mają mnie za świra...

Gdzie je trzymasz?

– Wydzieliłam jeden pokój na garderobę. Zamówiłam specjalne wieszaki po obu stronach ścian. Wszystkich innych ubrań w zasadzie się pozbyłam. Mam jedne dżinsy na żagle, spodnie do konnej jazdy, kilka bluzek, dres i piżamę, w których piszę, a cała reszta to sukienki. To, poza wszystkim, bardzo praktyczne, w ciągu trzech minut mogę się całkowicie przeistoczyć, pójść na spotkanie czy do teatru.

Kolory dobieram w zależności od nastroju. Im słabsza psychicznie się czuję, tym więcej na mnie czerwieni.

Właściwie dlaczego wybrałaś kryminal?

– Ze względów praktycznych. Wiedziałam, że jestem zbyt słaba, by tworzyć rzeczy doniosłe. Nie miałam poczucia misji. Uważałam, że prawdziwy pisarz to ktoś wyjątkowo mądry, kto wie więcej. Literatura gatunkowa wydała mi się dostępna. Oczywiście, wymaga dobrego warsztatu i wiedzy specjalistycznej, ale tego akurat się nie obawiałam. Jako dziennikarka miałam dostęp do materiałów sądowych, rozmawiałam z ofiarami, sprawcami, rodzinami ofiar, świadkami, prokuratorami, policjantami, sędziami, ekspertami. Cały ten świat był dla mnie łatwo dostępny.

W sumie to ciekawe i wciąż się nad tym zastanawiam – dlaczego zawsze wybierałam opowieści o złu? Żadnych miękkich, lifestyle'owych historii, jedynie takie, gdzie człowiek przekraczał cienką czerwoną linię i wkraçał w strefę cienia.

Ku jakiej odpowiedzi się skłaniasz?

– Wejście w przestrzeń cienia wzbudza chyba we mnie największe emocje i od razu pojawia mi się wiele pytań dramatycznych. Sama zbrodnia najmniej mnie obchodziła. Owszem, przeglądałam przy okazji zdjęcia z sekcji, widziałam śmierć sprowadzoną do cielesności, naturalizmu, zwłoki wyglądające jak kawałki mięsa z kością. Z mojej perspektywy był to jednak jedynie moment szczytowy opowieści, a mnie interesuje wszystko to, co przed i po.

Kluczowe jest pytanie: dlaczego. To myślenie kobiece – jak to się stało, że powstał węzeł czasu i przestrzeni, w którym los przypadkowo spotkał ze sobą dwie osoby. Dlaczego doszło między nimi do konfliktu i już nie było odwrotu? Oczywiście, w każdej takiej sytuacji są momenty, w zasadzie milisekundy, kiedy ktoś jeszcze może się wycofać, zmienić przebieg zdarzeń. A jednak...

Brzmi jak opowieść o boskiej interwencji w antycznych sztukach.

– Weźmy pierwszy z brzegu przykład. Zbrodnia na Tomku Jaworskim dokonana w 1997 roku przez grupę Moniki Szymańskiej, Tomasza Kobusa i Marka Szmidta. Gdy dziś patrzymy na tę historię z lotu ptaka, po 21 latach, nie można nie dostrzec tego nieprawdopodobnego zbiegu przypadków.

Las Młociński, maj. Maturzyści świętują zdane egzaminy. Wśród nich jest Tomek, wychowany w dobrym domu przez ludzi

religijnych, którzy uczyli go, że świat jest dobry, a w sytuacji konfliktowej nie można unikać brania na siebie odpowiedzialności za jej rozwiązanie. Tuż obok bawią się ostro pijane i znajdujące się pod wpływem narkotyków osoby, które trudnią się złodziejstwem, oszustwem, rozbojami, wożą kije bejsbolowe w bagażniku. Żadni zawodowi killerzy ze spluwami. Wśród nich Monika.

Grupy bawią się osobno, aż nagle zaczyna dochodzić do zdarzeń, które muszą doprowadzić do tragedii. Rozjuszeni używkami dresiarze chcą pokazać maturzystom, że ta część lasu należy do nich. Ale przy okazji napadają też na obcego mężczyznę, który przyjechał na polanę z dziewczyną. On próbuje uciekać, bandyci kijami bejsbolowymi tłuką mu szyby. W panice mężczyzna traci panowanie nad kierownicą i lekko uszkadza swoim foldem transitem AUTO, którym przyjechała grupa Szymańskiej. To bandytów jeszcze bardziej rozjusza, wściekli idą w stronę maturzystów. I wtedy, by ratować innych, na drodze staje im Tomek Jaworski. Robi to, bo tak go wychowano. A później spirala już jedynie się nakręca, pobicie, torturowanie i wreszcie decyzja o zamordowaniu chłopaka, którą podejmuje Monika. Ale wcześniej nawiązuje się między nimi jakaś nić porozumienia, oboje wiedzą, że są ofiarami tej sytuacji i że nie mają już wyjścia. Pat. Rozmowy, które prowadzą przed śmiercią Jaworskiego, dla nich obojga są swoistym oczyszczeniem. W końcu Tomek ginie od ran zadanych nożem. Jak w greckiej tragedii sam prosi, by to przerwać, mówi do swojego mordercy: „Dobij mnie”.

A gdyby ford transit przyjechał później? Gdyby maturzyści bawili się 200 metrów dalej?

Często ogłaszasz po prawdziwe wydarzenia?

– Żadnej historii nie przepisałam dosłownie. „Florystka” zbudowana jest na jednym elemencie z akt sprawy zabójczy. To ogród. Wszystko pozostałe zmyślałam – historię, życiowe perypetie, elementy układanki. Ten ogród wyjęłam z jej listów i z akt sprawy. Była z powołania florystką, pracowała w kwaciarni. W wyobraźni stworzyła przepiękny, malowniczy, tajemniczy ogród, podawała nawet konkretne nazwy występujących w nim roślin. To było bezpieczne miejsce, do którego uciekała, by spotykać ducha swojego dziecka. Czytałam jej zeznania i włos – dosłownie – jeżył mi się na głowie, co zdarza mi się rzadko. Piękne, delikatne opisy tego wymyślanego miejsca kontrastowały z opisem zbrodni, które popełniła, a przytaczanych przez nią dialogów nie wymyśliłby najlepszy scenarzysta.

Zło często ma piękne oblicze, pamiętam, że gdy czytałam akta sprawy tej kobiety, miałam poczucie, że widać w tej historii dotyk diabła.

Co zrobiła?

– Gdy zamordowano jej syna, miała romans z mężczyzną, który jednocześnie związany był z inną kobietą. Zabiła ją kilkanaście dni po śmierci dziecka, by zająć jej miejsce. Miała ogromne wyrzuty sumienia, że zaniedbała chłopca, że z jej powodu zginął, bo nie sprawdziła się jako matka.

Śledczy długo nie mogli znaleźć dowodu, że zamordowała niewinną kobietę. Proces dowodowo był niepewny. Ona bardzo »

MAM CÓRKĘ, JAK MOJA BOHATERKA. I KONSULTUJĘ Z NIĄ DIALOGI

umiejętnie manipulowała całym zastępem ekspertów. Powołała trzy komisje składające się z psychiatrów i psychologów i każda z nich wydała inną opinię na temat stanu jej zdrowia psychicznego – w czasie popełnienia zbrodni i później. To także silnie podziało na moją wyobraźnię. Ile było w tym wyrachowania? Jak sprawną manipulatką się okazała? Dla fabuły to jest ogromne paliwo.

Ostatecznie wyszła na wolność ze względu na zły stan zdrowia, zanim udowodniono jej winę. Wkrótce po opuszczeniu aresztu uprowadziła dziewczynkę łudząco podobną do zmarłego syna. I zamordowała ją.

Pamiętam, że po przeczytaniu tych wszystkich listów wróciłam do zdjęć zamieszczonych w aktach sprawy. Zauważyłam, jak z każdą popełnianą zbrodnią stawała się coraz brzydsza, jej uroda się destruowała. Robiła to celowo, oszpecała się. To też wykorzystywała w książce.

Mnie – po lekturze setek akt tomów spraw – ciężko już poruszyć. Jestem odwrzawiona, rzadko czuję grozę, widzę, jak bardzo powtarzalne są mechanizmy zbrodni. Gdy cała Polska żyje jakąś głośną sprawą, gdy media informują o matce, która zawekowała swoje dzieci, nazywając ją brutalną bestią, dla mnie ta sprawa z perspektywy kryminalistycznej jest banalna, bo wiem, że ta kobieta nie była w stanie rozstać się ze swoimi dziećmi, dlatego zachowała ich ciała w postaci makabrycznej pamiątki. Groza, wiem, ale dla pisarki, sam ten mechanizm to za mało, bo to klasyk z podręczników psychologii. W takiej historii szukałabym czegoś wyjątkowego, co ukazałoby nie tyle archetyp bestii, ile element, który pozwoli zbudować opowieść na poziomie meta. Czegoś takiego, co znalazł Nabokov w pierwowzorze pedofila, pisząc „Lolite”.

Zdecydowałaś, że Sasza będzie profilerką. Dlaczego?

– Bo to najciekawsze. Profiler musi mieć wiedzę z psychologii, wiktyologii, kryminologii, medycyny sądowej, musi umieć czytać ekspertyzy i działać analitycznie. Tworzy hipotezy dzięki umiejętnemu łączeniu wielu – na pierwszy rzut oka do siebie nieprzystających – elementów. Jest jak pisarz, tworzy subiektywną narrację zbrodni. Musi zaufać odczuciom i przeczuciom. Wnioski profilerów najczęściej są jak algorytm, jak matematyka. To chyba mnie fascynuje najbardziej, że to wszystko jest tak bardzo sprawdzalne.

Profiler to nie jest detektyw, który przycisnął do ściany jednego człowieka i już wie – zabił czy nie. On tworzy mapę, wskazuje drogę.

Masz ulubioną opowieść o efektach pracy profilerów?

– Opowieści Bogdana Lacha zafascynowały mnie tak bardzo, że postanowiłam uczynić go pierwowzorem bohatera pierwszej mojej serii o Hubercie Meyerze. Najbardziej lubię tę o morderstwie dokonanym na rosnącym biznesmenie, dość rzutkim i prowadzącym nie do końca legalne interesy. Jego ciało zostało znalezione w jego mieszkaniu po długim weekendzie. Było już w stanie rozkładu, nikt nie brał pod uwagę naturalnej

przyczyny zgonu, mężczyzna miał ponad 40 ran kłutych. Śledczy zaczęli od poszukiwania kontrahenta, z którym ofiara miała na pieńku, obstawiano, że morderca jest silnym mężczyzną.

Lach przyszedł na miejsce zbrodni dość późno. Profiler analizuje miejsce zdarzenia nieco inaczej niż śledczy, bo szuka śladów behawioralnych. Chodzi o to, by odczytać zachowanie sprawcy. Znalazł między innymi czerwoną piłkę dla kota. Był na niej dość świeży ślad pazura. Zaczął chodzić między śledczymi i pytać, gdzie jest kot. Mieli go za wariata. Sprawa się ciągnęła, kolejne hipotezy padały, a Lach ciągle wracał z pytaniem o kota. Aż w końcu napisał ekspertyzę: sprawcą jest kobieta, kochanka zamordowanego mężczyzny.

Miał rację. Odnaleziono i aresztowano kochankę biznesmena – gdzieś na drugim końcu Polski. Interesowało ją jedynie, jak policja wpadła na jej trop. Nikt ze znajomych mężczyzny nie wiedział o jej istnieniu, była praktycznie nie do wykrycia. I co powiedział jej profiler? Że gdy znalazł tę piłkę i z pomocą techników zbadał, że w mieszkaniu na co dzień przebywał kot, zaczął się zastanawiać, jaki sprawca, tak brutalnie mordujący swoją ofiarę, wypuszcza jednocześnie kota? Czy robi to, bo wie, że ciało zostanie odkryte dopiero po długim weekendzie, czego kot może nie przeżyć? Zrozumiał, że musiał to być ktoś z tym kotem związany. I ta kobieta rzeczywiście przyznała się do wypuszczenia kota, by nie zdechł.

Fascynujące!

– Prawda? A to i tak jedna z łatwiejszych spraw. Pomyśl o profilerach, którzy zajmują się badaniem seryjnych morderstw, pedofilią czy podpaleniami...

Dlaczego nie jesteś profilerką?

– To zbyt intensywne i infekujące.

Moja praca jest dużo bardziej bezpieczna, wchodzę i wychodzę ze strefy cienia, gdy tylko chcę.

Pleć profilerów ma znaczenie?

– Na pewno ma. Jest bardzo niewiele profilerów, w Polsce chyba trzy. Kobiety znacznie bardziej się angażują, mocniej i głębiej wchodzi w te wszystkie sprawy. Często rezygnują, nie wytrzymują napięcia. Szkoda, bo są lepsze od mężczyzn. Ogromną rolę odgrywa tu intuicja. Czasem wnioski przychodzą do głowy w najmniej spodziewanym momencie i z zaskakującej strony. Eureka! Mają to.

Czyli można przypuszczać, że Bogdan Lach bardzo lubi koty.

– Nie wiem, czy ma kota, ale gdy go poznałam, byłam zaskoczona. Bo seriale kreują najczęściej profilerów jako twardego gościa, bezwzględnych samotników wyzutych z emocji, doskonale rozumiejących schemat działania morderców. W jakimś sensie do nich podobnych, ale szczęśliwie pracujących dla dobrej strony. Taki schemat.

Tymczasem Bogdan jest ciepły, wekuje z żoną pigwy, robi konfitury. Umie to połączyć z pracą. A przecież ona polega na analizie obrażeń. Dla profilerów ciało ofiary jest książką, wszystko jest tam zapisane. Wzrost sprawcy, jego pleć, to, czy działał sam, jak udało mu się wejść w bezpieczną strefę ofiary i zaatakować. Gwałtownie czy nie? Czy ofiara mogła znać swojego za- »

IM SŁABSZA PSYCHICZNIE SIĘ CZUJE, TYM WIĘCEJ NA MNE CZERWIENI



KATARZYNA BONDA

– ur. w 1977 r.
w Białymstoku.

Pisarka, z wykształcenia
dziennikarka
i scenarzystka.

Popularność przyniosła
jej seria kryminałów
z profilerką Saszą
Zaluską („Pochłaniacz”,
„Okularnik”, „Lampiony”,
„Czerwony pająk”),
ma też na koncie m.in.
trylogię kryminalną
z Hubertem Meyerem
oraz dokumentalne
„Polskie morderczynie”
i „Zbrodnię
niedoskonałą”.

Sprzedaz jej książek
w Polsce sięga miliona
egzemplarzy.

Mieszka w Warszawie

Z OKŁADKI



bójcę? I wcale nie jest jak w kryminałach czy serialach, że profiler prowadzi przez kilka miesięcy jedną sprawę. Na jego biurko trafia kilka spraw dziennie.

Śledzisz na co dzień kronikę kryminalną? Docierają do ciebie informacje o brutalnych przestępstwach?

– Nie, w ogóle nie wiem, co się dzieje w Polsce.

Nie wiesz, kto jest premierem?

– Nie wiem i szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Jeżeli będzie mi to potrzebne do jakiejś kolejnej fabuły, obiecuję, że zgłębię temat.

Jak można nie wiedzieć, kto jest premierem?

– Można. Człowiek jest wtedy bardzo bezpieczny i niczym się nie denerwuje.

Skoro śledzisz otaczającą cię rzeczywistość wybiórczo, zauważyłaś wzrost liczby przestępstw popełnianych przez kobiety i ich brutalizację?

– Ale kobiety coraz częściej zostają też dyrektorkami, prezeskami, szefowymi różnego rodzaju organizacji. Mamy równouprawnienie na każdym poziomie. Mówimy o tych samych cechach przecięt.

O jakich? O rywalizacji?

– Tak. I o pewnej potrzebie dominacji i chęci udowodnienia mężczyznom, że my też potrafimy. Zbrodnia jest przecież rodzajem konfliktu. Chodzi o to, że sprawca musi zapanować nad ofiarą, jest drapieżnikiem. Musi upolować.

Po napisaniu tylu książek o zbrodniach, po przeczytaniu setek tomów akt, po oglądaniu zwłok boisz się bardziej?

– Dobrze śpię. W ogóle uważam, że świat jest bezpieczny. Przecież wszystko jest w nas.

Miałam w sobie jakiś podświadomy lęk wiele lat temu, gdy pisałam książkę „Zbrodnia niedoskonała”. Wtedy wydawało mi się, że każdy obok mnie może być mordercą, naczytałam się tak wiele dokumentów sądowych, że bałam się patrzeć na innych ludzi, od razu każdego profilowałam.

Pisałaś tę książkę z Bogdanem Lachem.

– Tak. To był jego pomysł, bardzo zależało mu na „odczarowaniu” zawodu profilera. Jeszcze pięć-sześć lat temu zdarzali się policjanci, którzy z kpiną w głosie mówili: „Idźcie do Bogdana, on wam powróży”.

Praca nad tą książką była doświadczeniem traumatycznym. Czytałam mnóstwo akt, ale nie miałam żadnego kontaktu z żywym człowiekiem opisanym w tych dokumentach. Wcześniej, gdy pisałam o polskich morderczyniach, wiele z nich odwiedziłam w więzieniach, piłam z nimi herbatę, ścisłałam ich dłonie. A tu – nic z tych rzeczy. Moja wyobraźnia zaczęła więc wariować.

Pewnej nocy, po kolejnej rozmowie z Bogdanem – wiele godzin spędziliśmy na rozmowach na Skypie, ja w Warszawie, on w Katowicach – zorientowałam

się, że zostawiłam telefon w samochodzie na podwórku. Nie wiedziałam, co zrobić. Bo jeśli zejdę na dół, zostawię otwarte drzwi od mieszkania, w którym śpi dziecko, a ktoś zabije mnie na schodach, to co się stanie z Niną? Uznałam, że muszę natychmiast napisać książkę, by uwolnić się od obrazów, które produkuje moja wyobraźnia.

Dzisiaj, gdy piszę książki fabularne, pozbyłam się obaw. Zresztą coraz mocniej odchodzę od elementów kryminalnych. Nudzą mnie.

No jak to?

– Całe życie piszę z pomocą detektywa. Wiesz, jaki to jest kaganiec? Ale te moje wątpliwości na pewno nie wzięły się z lęków. Te mam już dawno oswojone.

Nawet lęk o dziecko?

– Oczywiście, że gdy moja córka zbyt długo nie wraca, od razu nawiedzają mnie czarne wizje, że stało się coś złego. Ale to powie ci każda matka. I każdy ojciec.

Staram się nie kontrolować Niny tak bardzo, jak bym chciała, nie histeryzuję, gdy wraca z rolek z koleżankami trochę później, niż się umówiliśmy. Na przekór samej sobie daję jej duży kredyt zaufania i pozwalam na niezależność, nie chcę obciążać jej na razie wiedzą na temat życia, którą sama zdobyłam.

Uczę ją obowiązkowości, więc nie pozwalam na przykład nie iść na lekcję francuskiego, bo jej się nie chce. Ale za to pozwalam zrezygnować w szkole z akrobatyki, gdy widzę, że to dla niej zbyt duże obciążenie – fizyczne i psychiczne. Pozwalam też mojej córce się bać, gdy po raz pierwszy jechałyśmy do stajni na zajęcia z jazdy konnej – sama dzięki temu nauczyłam się jeździć – wyjaśniałam jej, że to naturalne odczuwać lęk przed czymś nieznanym.

Aha, jeszcze coś. Nie mówię jej, że wszyscy ludzie są dobrzy. ●



Katarzyna Bonda z drugą bohaterką naszej okładki – dwuletnią kruczyką Magdą.

Na co dzień Magda mieszka w domu sokolnika, ale w przeciwieństwie do pozostałych ptaków nie pracuje, jest „zwierzętkiem” domowym.

Od czasu do czasu pojawia się tylko na planach zdjęciowych. Oswojona, ale z temperamentem – gdy pisarka chciała na powitanie ją pogłaskać, kruczyca próbowała ją dziobnąć. Dalsza współpraca ułożyła się na szczęście idealnie.

Podczas sesji Magdzie towarzyszył jej opiekun – Łukasz Delock